

ŁUKASZ JAROSZ
LUDOJAD



ŁUKASZ JAROSZ

LUDOJAD

© Copyright by
Łukasz Jarosz & e-bookowo

Projekt okładki:
Łukasz Jarosz

Korekta:
Dagmara Magryta

ISBN 978-83-7859-538-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2015

Łukasz Jarosz LUDOJAD

Dla wszystkich tych, którzy odeszli

*„Opowieść trwa, historia nie kończy się nigdy.”
Andrzej Sapkowski „Sezon Burz”*

*„Psy wracają po kolejną krew.”
Łukasz Muszyński, „FilmWeb”*

*„To nie jest choroba. To jest osobowość (...) seryjni
zabójcy zabijają bez końca, dopóki ktoś ich nie za-
trzyma albo dopóki sami nie zginą.”
„Glina” scenariusz: Maciej Maciejewski*

*„Kiedy Świat schyli się ku końcowi, znakiem apo-
kalipsy będzie kanibalizm.”
Autor nieznany*

PROLOG

Był nikiem. To przykre, ale dzisiejszy świat nie interesował się kimś takim, jak Jasiak. Ot, kolejny pijak, który wylądował na ulicy. Nikt nie pomyślał, dlaczego tak się stało.

Nikt nie dowiedział się, że gdyby nie nowotwór, ten człowiek dalej miałby żonę, dzieci i psa. Jasiak kilka lat temu przezwyciężył raka płuc, pomógł mu w tym cudowny proces – remisja choroby. Gdy odzyskał pełnię życia, poczuł się jak Bóg. Myślał, że może wszystko. Zdradził żonę, pił na umór i zadłużył się w kasynach.

Tak stał się bezdomnym, ale nikt już się o tym nie dowiedział.

Szedł po spóźnioną kolację. Zbliżała się północ. Kraków spowity był ciemnością kontrastującą ze światłem z ogromnej ilości ulicznych i domowych lamp. Jasiak ostrożnie zmierzał do kubła na śmieci znajdującego się na tyłach restauracji „Maestro”. Ta włoska knajpa ulokowana była na cichym i spokojnym uboczu stolicy Małopolski, z dala od dużego ruchu.

Gdy był już blisko wielkiego kontenera, raz jeszcze obejrzał się za siebie. Potem odwrócił się do śmietnika, podrapał po brodzie i otworzył go. Odór wydobywający się z dużego kosza był mieszaniną aromatów różnych sosów, mięs i przypraw. Ale można było tam wyczuć jeszcze inny fetor. Nie był on przyjemny, lecz Jasiak nie

wiedział, co to za zapach. On, specjalista od nieświeżych oparów.

Rzeczywiście, coś było nie w porządku, bo na szczycie, zaraz za pokrywą znajdował się czarny, duży worek.

Gdyby tam nie zajrzał, tę noc przespałby spokojnie.

Ale zrobił to. Chwytał obiema rękami za worek i poczuł coś twardego, ostrego. To coś było też cholernie ciężkie. Z trudem wy dobył tajemniczą reklamówkę i rzucił ją obok kontenera. Przez chwilę myślał, że zignoruje czarny worek i zacznie łapczywie grzebać w kubie, z którego wydobywał się już zapach sosu bolońskiego.

Coś go jednak tknęło.

Uklęknął, sfatygowane spodnie prawie pękły w kroczu. Brudnymi dłońmi rozerwał worek. To, co tam zobaczył, odmieniło do końca jego życie.

W czarnym worku znajdowały się kości. Ludzkie kości i czaszka.

Łukasz Jarosz LUDOJAD

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Nie lubię dresiarzy. Choć, teoretycznie sam łatwo mógłbym stać się jednym z nich. Wystarczyłoby, że zamiast obcinać krótko tylko tył głowy, zgoliłbym całą. Musiałbym się też jakoś wyzbyć zakoli i – koniecznie – bokobrodów. Rysy twarzy mam podobno męskie, mój kilkudniowy zarost też by przeszedł. Założyłbym na siebie jeszcze bluzę z kapturem, zamiast skórzanej, staroświeckiej kurtki, dresowe spodnie w zastępstwie pogniecionych bojówek i adidasy, a nie ciężkie buty, które również mam w zwyczaju nosić na co dzień. Zresztą, wyznaję zasadę znaną z Biblii: „nie szata zdo- biewieka”, więc nie chodzi mi tak naprawdę o wygląd ani ubiór. Żeby być łysym dresiarzem musiałbym myśleć, że Świat należy do mnie oraz, iż tylko ja mam rację, broń Boże inni ludzie.

A, i chyba moje różnobarwne tęczówki, spowodowane heterochromią, nie pasowałyby zbyt do stylu ulicznego chuligana. Dziwnie wyglądałby dres z lewym okiem w kolorze brązowym, a prawym – stalowym. Mówię to wszystko nie bez przyczyny. Bo tę opowieść zacznę właśnie tak:

Szedłem Nową Hutą na przystanek tramwajowy. Spieprzył mi się służbowy hyundai, a innego samo-

chodu nie miałem. Wiedziałem, że moje spacery na tej dzielnicy mogą się skończyć niewesoło. Wziąłem mieszkanie tam, bo było tanie, a wbrew powszechnej opinii – pensja gliny nie jest horrendalna.

Wszystko szło dobrze, do momentu, gdy przy starej ławeczce nie zaczepił mnie dresiarz i jego dwóch kumpi. Przystanek znajdował się pięćdziesiąt metrów dalej.

Gdy przechodziłem obok zacnej grupy, jeden, w bluzie z kapturem, chwycił mnie za ramię, szarpnął i powiedział:

– Ej, ziomek. Masz szluga?

Ludzi było tam wiele, ale nikt nawet nie spojrzał na moje spotkanie z dresiarzami. Wiadomo, znieczulica społeczna. Dwóch koleżków, tego co się do mnie odezwał, wstało, po czym wszyscy na mnie spojrzeli. Trzech łysych gości w dresach i adidasach. Ucisk jednego z nich na moim ramieniu zelżał.

– Nie – wiedziałem, że tak tego nie załatwię. Czy to zaszrane auto musiało się zepsuć, pomyślałem. Za pół godziny miałem być na Mogilskiej w Fabryce, sytuacja, podobno była nadzwyczajna.

Dwójka blisko ławki wyprostowała się. Mój szanowny rozmówca raz jeszcze szarpnął mnie za ramię, gdy chciałem ruszyć dalej.

– Ziomek, przecież wiem, że masz kiepy. Fajna fryzurka – wtedy doszedłem do wniosku, że to ten moment. Gdyby mieli już coś napite, zapewne nie pochwaliliby mojej fryzury, tylko od razu mocniej przycisnęli na te fajki.

– Nie mam petów, nie palę – warknąłem, to podobno działa, bo mam bezuczuciowy, metaliczny głos. Odsunąłem swoją rękę szybko z jego chwytu i podniosłem kurtkę z prawej strony, tak, by pokazać tym przyjemniaczkom policyjnego glocka.

Miało lać, dlatego wziąłem kurtkę. Oczywiście nie padało.

Klamka zadziałała, gagatek odsunął się, będąc krok od swoich kolegów.

– Okej, ziomal. Co ty taki nerwowy? Gdybym miał przy sobie więcej ludzi, inaczej byśmy gadali, wiesz o tym psie!

Zacisnąłem zęby.

– Mama cię odwiedzała w nocy goła czy co, że się tak spinasz?

Zaśmiali się. A ja pomyślałem, że z wszystkich obelg, jakie mogli do mnie rzucić, wybrali akurat taką. Koszmarne wspomnienia powróciły i już nie myślałem racjonalnie. Błyskawicznie wymierzyłem cios z wyprostowanej ręki w twarz tego, który mówił. Taki kozak, a jeden gong sprawił, że upadł, uderzając plecami o ławkę. Od razu chwyciłem instynktownie drugiego i zanim się zorientował, co się dzieje, wałnąłem mu z dyniaka w nos. Ups, musiało boleć. Trzeci miał najwięcej czasu na reakcje, więc rzucił się do mnie i chciał uderzyć pięścią. Kątem oka dostrzegłem przerażoną starszą kobietę z zakupami i zablokowałem cios. Zrobiłem natychmiastową kontrę z kolana w brzuch delikwenta, potem odrzuciłem go na późnowiosenną, zieloną trawę. To

była dla mnie chwila, by wyciągnąć gnata. Tak właśnie zrobiłem, próbując kontrolować całą trójkę, mierząc ich bronią.

– Wypierdalać – warknąłem. – Już!

Ociągnęli się z trawy i posłusznie uciekli. Wiedziałem jednak, że jeszcze kiedyś się z nimi spotkam, nie w takim miejscu i nie w drodze do Firmy.

Ale wiecie co pomyślałem? Jebać to. Jest mocna akcja w Wydziale Zabójstw, a ja mam pięćdziesiąt metrów do tramwaju, który zawiezie mnie na Mogiłską.

2

W Komendzie Wojewódzkiej w Krakowie nic nie wskazywało na jakąś szczególną sytuację. Po drodze do Wydziału Zabójstw mignęło mi przed oczami kilka znajomych twarzy, mundurowych i policjantów w cywilu. Gdy dotarłem do drzwi największego pokoju w Wydziale (ku mojemu zdziwieniu, gdy zaczynałem tutaj robotę – nie był to gabinet naczelnika) zastanowiłem się, co takiego się stało? Na trupa przeważnie wzywają mnie telefonicznie i od razu mówią, gdzie, a tu? Otwierając drzwi pomyślałem o tym, że przecież mam guza na czole i obtartą dłoń po bójce.

Jednak jak to mawiał inspektor Kropiek, który był moim pierwszym prawdziwym szefem, a zarazem mentorem w zawodzie śledczego: „A wiesz co? Jebać to.”

Drzwi nie zaskrzypiały, a moim oczom ukazała się wesoła gromadka. Wokół okrągłego stołu siedziało pięć

osób. Oczywiście, pierwsze zauważyłem Różę. Niedługo później moją Różę. Siedziała na fotelu obrotowym, przy oknie, z założonymi rękami, które opierała o stół. Miała na sobie czarną marynarkę i fioletową podkoszulkę. Była najładniejsza z całego towarzystwa. Miała intrygujące, azjatyckie rysy twarzy, bardzo ciemne oczy oraz kruczoczarne włosy z grzywką uczesaną na lewą stronę.

Róża. Moja fascynacja i namiętność. Mój ból i radość. Moja ukochana. Niestety, od momentu rozstania, jak przypuszczałem – bez wzajemności.

Poznaliśmy się w Warszawie, kiedy pracowałem jeszcze w Wydziale Kryminalnym w moim rodzimym mieście – Łodzi. Podczas policyjnych konsultacji w stolicy spotkałem najbardziej interesującą i najpiękniejszą kobietę na Świecie. Ta afrodyta urodziła się w papieskim mieście, czyli w Wadowicach. To ona ściągnęła mnie do Małopolski, po czym mnie zdradziła. Klasyka.

Lecz wciąż była dla mnie najpiękniejszą i najbardziej interesującą kobietą na tej Ziemi. Oraz, dodatkowo – komisarzem wśród krakowskich kryminalnych.

Koło Róży siedział Bromski, nasz najlepszy profiler. Miał brązową marynarkę i był gładko ogolony. Z mojej lewej strony kawę i pączka konsumował Henryk Tomasiak, naczelnik Wydziału Zabójstw. Szkoda o nim gadać. Gruba, parszywa świnia. Z prawej strony stołu siedzieli Witek Zaremba, mój kolega z pokoju, oraz prokurator Matecka. Zaremba to przeciętniaczek z wąsem, a pani prokurator – jak to mówią nastolatki – niezła MILF.

Oczywiście, wszyscy się na mnie gapili, a ja zasta-

nawiałem się, czy coś powiedzieć. W końcu tego nie zrobiłem i usiadłem na starym, pamiętającym chyba komunizm krześle. Centralnie naprzeciw Róży, która – znając jej spostrzegawczość – od razu zauważyła ślady po mojej sprzeczce z dresami.

– Dobrze, że jesteś – chrypiącym głosem przerwał niezręczną ciszę Tomasik. – Mamy komplet, choć zastanawiałem się, czy nie wezwać jeszcze Grubego.

Tylko nie Gruby, przeszło mi przez głowę. Z całego Wydziału to właśnie jego, czyli konkretnie komisarza Tomasza Bogusza nie lubię najbardziej

– Zaczynajmy – pospieszyła naczelnika Matecka.

Tomasik wyciągnął z neseseru pięć aktówek. Zapewne jednobrzmiących.

– To wszystko, co mamy na razie – powiedział naczelnik. – Cała wasza piątka zajmie się sprawą tego pojebańca.

Matecka zrobiła taką minę, jakby się oburzyła. Nie chodziło zapewne o wulgaryzm z ust Tomasika, ale o rozkazujący ton względem niej, pani prokurator.

Zacząłem przeglądać akta. Fotografie kości, czaszki, zębów. Masa zdjęć. Zapisy z przesłuchań. Wyniki sekcji. Wszystko robione na cito. Wyciągi różnych mord z bębna. Portret pamięciowy. Kopia listu z Komendy Stołecznej w Warszawie.

– Szukamy najprawdopodobniej tego człowieka – Tomasik wskazał palcem na portret. – Moi drodzy, kanibal. Facet zabił i zjadł kobietę w Warszawie, ale był nieostrożny i widzieli go niedaleko miejsca konsump-

cji, że się tak wyrażę.

– Więc wyjechał i trafił do Krakowa. Takie są przypuszczenia, poparte naszym znaleziskiem. Nie wiemy, czy zamordował więcej osób – wtrącił się Bromski, marszcząc czoło.

– Tak, tak – przytakiwał naczelnik. – Ofiara ze stolicy: Anna Baran, zamężna, nasz biedak: Piotr Kołodziejczyk. Student.

– Rodzice są w szoku. Zresztą, to mało powiedziane – rzekł Zaremba, powoli cedząc słowa.

No, to w tym momencie tylko my milczeliśmy. Róża unikała patrzenia na mnie, ja tylko słuchałem. Kanibal? Z czymś takim się nie spotkałem w ciągu mojej jedenaścieletniej kariery, rozmyślałem.

To już prawie jedenaście wiosen jako oficer policji, cholera, ale leci ten czas – wspomniałem z nostalgią. Siedem lat w Łodzi: dwa w obyczajówce, rok w przestępstwach gospodarczych i cztery w Wydziale Kryminalnym. W Krakowie – do czasu, kiedy siedziałem i dumiałem przy tym okrągłym stole – robiłem już w zabójcach cztery lata.

Ale seryjnego mordercy, który zjada swoje ofiary, jeszcze nie widziałem – pomyślałem. Lecz wiedziałem, że będę chciał go zobaczyć.

Bo, że to seryjny, byłem pewny. Znowu zabije, to tylko kwestia czasu i ja o tym dobrze wiedziałem.

Spis treści

<i>PROLOG</i>	6
CZEŚĆ I	8
<i>ROZDZIAŁ PIERWSZY</i>	9
<i>ROZDZIAŁ DRUGI</i>	33
<i>ROZDZIAŁ TRZECI</i>	53
<i>ROZDZIAŁ CZWARTY</i>	78
<i>ROZDZIAŁ PIĄTY</i>	100
CZEŚĆ II	120
<i>ROZDZIAŁ SZÓSTY</i>	121
<i>ROZDZIAŁ SIÓDMY</i>	145
<i>ROZDZIAŁ ÓSMY</i>	165
<i>ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY</i>	182
<i>ROZDZIAŁ DZIESIĄTY</i>	203
<i>EPILOG</i>	231

Łukasz Jarosz

LUDOJAD

Seryjny morderca, który zjada swoje ofiary, egzekucja gangsterska w luksusowym hotelu, „chłopcy-maczetowcy” terroryzujący ulice Krakowa i inne sprawy jakby żywcem wyciągnięte z kronik kryminalnych.

A w środku tego wszystkiego on – nieustrascony, niemający nic do stracenia twardy glina o najlepszej statystyce w Wydziale Zabójstw. Człowiek wrażliwy, ukryty w masce bezuczuciowego cynika, ponadto z koszmarną przeszłością, zakochany beznadziejnie w kobiecie swojego życia – również oficerze polskiej policji. Wczuj się i wejdź w myśli podkomisarza Łukasza Karwana – dzięki historii opowiedanej z jego perspektywy!

Pierwsza część ostrej jak żyłeta opowieści o „Kruku” – gorąco zapraszam do jej przeczytania!

